



## MARIA LACHERT

Warszawa, 4 września 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, sędzia Halina Wereńko, przesłuchiwała niżej wymienioną w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, świadek zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Maria Lachertowa, I voto Diużyńska, z d. Ceglińska
Imiona rodziców	Kazimierz i Maria z d. Landsberg
Data urodzenia	13 października 1909 r. w Moskwie
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Miejsce zamieszkania	Warszawa, Saska Kępa, al. Katowicka 9 m. 1
Wykształcenie	inż. chemik
Zajęcie	sekretarz Biura Odbudowy Stolicy

---

W czasie powstania warszawskiego brałam udział w akcji pod pseudonimem „Wanda-Mucha”, w oddziale liniowym AK, z bronią w ręku, na terenie Ochoty, w okolicach mego mieszkania mieszczącego się od strony ulicy Uniwersyteckiej w bloku [domów] przy ul. Wawelskiej, Uniwersyteckiej, Mianowskiego i Pługa. I sierpnia 1944 roku w piwnicach bloku od strony ul. Pługa został zorganizowany szpital polowy AK pod kierownictwem dr. Lange.

W szpitalu przebywali ranni powstańcy i cywile, razem około 14 osób. 11 sierpnia powstańcy wycofali się kanałami do Śródmieścia. Szczegóły dotyczące akcji podał w swej relacji AK-owiec Sieroszewski. Po odejściu powstańców dom znalazł się pod ostrzałem

artylerii niemieckiej i karabinów maszynowych. Pozostałam w piwnicy wraz z innymi mieszkańcami bloku. Zaczęliśmy organizować wyjście ludności cywilnej. Nad szpitalem została wywieszona biała chorągiew.

W dwie godziny po odejściu powstańców wpadł do bloku oddział SS stacjonujący w Szkole Nauk Politycznych na rogu ulicy Wawelskiej i Raszyńskiej oraz podległy mu oddział Ukraińców noszących na epoletach czerwone kwadraty. Dowodził oddziałem oficer SS, którego nazwiska nie znam. Niemcy weszli do bloku oknem parterowym od strony ul. Pługa. Ponieważ jedna brama stała w płomieniach, a druga była zabarykadowana, padł rozkaz, by mieszkańcy wychodzili po desce przez okno na ul. Pługa, przy czym zabroniono wynosić rannych oraz chorą staruszkę, matkę lokatora domu, Sosnowską. Przy wychodzeniu ludności cywilnej przez okno z wysokiego parteru działy się potworne sceny. Ukraińiec zepchnął z deski w płomienie staruszkę mającą lekko sparaliżowane nogi, matkę Czerwińskiej, zamieszkałej obecnie w Milanówku we własnej willi. Spłonęła żywcem. W ten sam sposób zginął staruszek Niewiadomski. Ukraińcy utworzyli kordon dookoła wyprowadzanych, grabili ich rzeczy oraz bili po wyjściu z bloku na ul. Pługa, przy czym pewne osoby wydające im się podejrzanymi – czy z powodu wyglądu, czy z powodu posiadanej rany – obalali na ziemię i rozstrzeliwali. Tak zostali zamordowani przed blokiem, już na ulicy Pługa, starszy strzelec AK Skrzyński, komendant obrony przeciwlotniczej bloku – Kazimierz Majewski, przygodny kapelan w bloku – ksiądz Salamucha, syn aptekarza z apteki na rogu Uniwersyteckiej i Mianowskiego – Wilamowski, prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr. chemii – Leśkiewicz, Czosnowski z synkiem, dozorca [domu przy] ulicy Mianowskiego 15 – Franciszek, którego nazwiska nie pamiętam. Około 50 – 60 osób przy wychodzeniu odniosło ciężkie i lekkie obrażenia ciała od razów. Należałam do tej grupy ludności cywilnej. Po naszym wyjściu z domu, prócz chorych, pozostał ukryty w piwnicy z rannym synkiem Lewak oraz zatrzymany przez Niemców dozorca domu Wyrzykowski (obecnie zamieszkały w Warszawie, przy ul. Miodowej 24).

O dalszym przebiegu wypadków w domu wiem z opowiadań. Po wyjściu naszej grupy, na rozkaz oficera SS, który przez cały czas znajdował się przy domu bądź przy naszej grupie wyprowadzanej, Ukraińcy rzucali do piwnic granaty i w ten sposób wymordowali chorych. Wśród nich znajdowali się trzej powstańcy noszący pseudonimy: „Książę”, „Strzelec” i „Błysk” oraz inni pozostawieni ciężko chorzy. Dokładną liczbę i nazwiska chorych może pamiętać dr Lange. Po dokonaniu tego morderstwa Ukraińcy podpalili gmach, już częściowo stojący

w płomieniach, po czym kazali dozorczy Wyrzykowskiemu wrzucać zwłoki zamordowanych na ulicy Pługa do ognia.

W styczniu 1945 roku, po ucieczce Niemców, widziałam w okolicach piwnic szereg na pół zwęglonych zwłok, następnie ekshumowanych w toku akcji przeprowadzonej przez Zarząd Miejski.

W czasie, gdy w bloku mordowano chorych, mnie w grupie około 200 mieszkańców domu Ukraińcy zapędzili na róg ulicy Uniwersyteckiej i Raszyńskiej. Tu ustawiono koło nas karabin maszynowy, po czym oficer SS badał, czy grupa znajduje się w zasięgu strzałów. Kręcił rączką karabinu i wahał się. Kazał odłączyć grupę mężczyzn i patrzył, jak Ukraińcy bezkarnie grabili wyprowadzoną ludność, zabierając wszystkie lepsze rzeczy, płaszcze, biżuterię. Grabili nas również SS-mani. Mnie rewidował dokładnie właśnie SS-man, szukając kosztowności. W czasie postępu Ukraińiec wprowadził z grupy trzy młode kobiety, które do nas już nie wróciły.

Po wahaniach i namyśle oficer SS wydał rozkaz odprowadzenia grupy na Zieleniak, dokąd szliśmy, mając w ciągu około 20 minut podniesione w górę ręce. W ten sposób nikt nie mógł prześlizgnąć się z walizką czy tłumoczką.

Za bramą na Zieleniaku odłączono od nas osoby, które podały, że należą do narodowości rosyjskiej. Tę grupę ustawiono koło bramy i pozostawiono w spokoju tak co dalszego rabunku, jak i co do uprowadzania kobiet. Jakiś Ukraińiec wdał się ze mną w rozmowę i radził, bym podała się za Rosjankę, „inaczej będzie źle”. Umieszczono nas na środku placu, po czym coraz nowe grupy Ukraińców przybywały, by odbierać nam ubranie i resztki rzeczy, bijąc, gdy nie było co grabić, oraz, by uprowadzać kobiety. Całą noc słychać było rozpaczliwe krzyki, „własowcy” świecili latarkami, wybierając młode kobiety, które gwałcili na placu. Słychać było wciąż strzały, jak sądzę dla postrachu. Nie widziałam, by ktoś został zastrzelony.

Na Zieleniaku prócz naszej grupy znajdowało się już kilka tysięcy osób, przeważnie z Kolonii Lubeckiego, Staszica oraz trochę z Mokotowa. Niektórzy przebywali tu już od kilku dni. Starsza kobieta, której nazwiska nie znam, wołała rozpaczliwie, by oddano jej dwie córki uprowadzone przed trzema dniami przez Ukraińców.

Nie widziałam na Zieleniaku oficerów Niemców. Ukraińcy mieli swobodę działania. W budynku koło bramy paliło się światło i sądzę, iż tam musieli znajdować się dowódcy.



Nazajutrz rano pojawił się podoficer SS, który uformował transport na Dworzec Zachodni do obozu przejściowego w Pruszkowie. Pozostało na Zieleniaku pod ścianą jedynie kilkanaście osób chorych, nie mogących poruszać się o własnych siłach. Nie pozwolono ich nieść. Jaki los spotkał tę grupę – nie wiem.

Po trzydniowym pobycie w obozie w Pruszkowie, przy pomocy polskiego lekarza wydostałam się na wolność.

Na tym protokół zakończono i odczytano.